Dodatek do Nr. i „Prawdy".

RODZINA

PISMO POŚWIĘCONE WYCHOWANIU I NAUCE DOMOWEJ.

Numer 1. Sobota, dnia 8-go stycznia. Rok 1910.

Wanda Grot-Bęczkowska.

CO BĘDZIE Z NASZEGO CHŁOPCA?

POWIEŚĆ.

(Ciąg dalszy).

— Może być — odparła spokojnie napozór, ale serce tak jej biło, że je ręką przycisnąć musiała. — Więc ty, Antosiu, ożeniłeś się ze mną tylko dlatego, aby.... aby mi przykrości zerwaniem nie sprawić? — spytała, dławiąc się łzami.

— Oczywiście. Kochałem cię, jak i dziś kocham, ale skrzypce moje kocham więcej niż siebie i ciebie. Powinienem był uczyć się i iść dalej.

— Zapewne — wykrztusiła. — Ale zapomniałeś, że oprócz mnie była inna, ważniejsza przeszkoda. Chorowałeś przecie...

— To i cóż? — wybuchnął ze złością. — Wiem już, wiem, co powiesz dalej. Pielęgnowałaś mnie, leczyłaś, dogadzałaś,.. O! tysiąc razy to słyszałem i od matki mojej, i od ojca. Graliście na tej wspaniałomyślności twojej, a mojej głupocie, jakeście sami chcieli. Jam się to złapał, bom głupi był.

— Szkoda — odparła smutno. — Gdybym była wiedziała, że się tak dla mnie poświęcasz...

— Stało się — rzekł krótko. — Uciułaliśmy trochę grosza, dzięki twojej pracowitości, czemu bynajmniej zaprzeczać nie myślę, mamy więc o co, jak to mówią, ręce zaczepić. W przyszłym tygodniu pojadę do Warszawy, przez kilka miesięcy będę grał pod kierunkiem którego z profesorów, poradzę się jeszcze lekarzy specyalistów, bom ciekaw, co o mojej ręce powiedzą, no i może mi się uda wejść na drogę, z której zszedłem.

— Czy sam pojedziesz? — spytała Florka tak cicho, że ledwo dosłyszał.

— Naturalnie. Po studyach, po koncercie wyjadę za granicę, a gdy się pozycya moja ustali, zabiorę cię do siebie. Wszak o to ci chodzi? — spytał nieco łagodniej. — Bądź pewna, że znam swoje obowiązki i nie uchybię im. Nie zapomnę nigdy, że byłaś dobrą dla mnie i kocham cię szczerze, mimo zawodu i przykrości, jakich dla mnie byłaś powodem.

Osłupiała. Czy istotnie kiedykolwiek w życiu zrobiła mu co złego? Jak automat, spojrzała na zegar i bez słowa, bez jęku, który się jej z piersi wydzierał, przeszła do drugiego pokoju i zaczęła na noc rozbierać łóżka. Ze zwykłą starannością wygładziło poduszki, ułożyła kołdry i do pacierza uklękła. Gdy w kwadrans potem wszedł Antoni, spokojna twarz żony wywołała mu na usta uśmiech ironiczny. „Pysznie nakręcona maszynka, gdy idzie o spełnienie zajęć domowych i zapewnienie najmożliwszych wygód mężowi — pomyślał. — Ale poza tem dusza śpi".

Pocałował pochyloną jej głowę i wkrótce zasnął. Florka tylko tego czekała. Dłużej panować nad sobą nie byłaby zdolna. Podniosła się cicho z klęczek i wyszła.

Księżyc świecił jasno. Ani jednej chmurki na ciemnoszafirowem niebie, a w okół taka cisza... W ogródku jeno warknął, ziewając, Obal, ale zaraz panią swoją poznawszy, umilkł i wyciągnął się na trawie. Wiśniowe drzewka i grusze dzikie stały cicho, jakby uśpione, a tak było widno, jak w biały dzień. Florka przypadła do ziemi i na trawie wilgotnej uklękła.

— Więc ja, com go kosztem szczęścia własnego ratować chciała, teraz mu ciężarem, kulą u nogi jestem? — wybuchnęła z rozpaczą. — Boże, Boże! po cóż tej chwili dożyłam!

Niebo zaróżowiło się na wschodzie, podniósł się lekki wietrzyk, zaszumiały grusze dzikie i wiśniowe drzewka, malinowe krzaki szeptały coś z różą, mgła się z łąk podniosła. Na niebo, mieniące się cudnemi barwami tęczy, wypłynęło słońce. Podnosiło się zwolna, jasne, wspaniałe i uśpionej jeszcze ziemi rzuciło snopy blasków brylantowych. Tu i owdzie ozwał się szmer. Przyroda budziła się do życia ze snu spokojnego.

I blada kobieta, stojąca teraz pod gruszą, spokój wielki miała na czole. Błękitne jej oczy patrzyły na wstające słońce i były takie błyszczące, jak gdyby te blaski brylantowe w źrenicach jej odbiły się milionami światełek.

„Ojcze nasz, któryś jest w niebiesiech" — szeptała uśmiechnionemi usty, podniosła złożone dłonie i uklękła

Księżyc zbladłe swoje oblicze wsunął nieśmiało w gromadkę chmurek puszytych, lecz promyk jego ostatni spoczął jeszcze raz na głowie klęczącej Florki. Wszak on pierwszy usłyszał wykrzyk radosny; przy jego skromnym blasku jedna istotka drobna drgnęła życiem, niosąc znękanej kobiecie bezmiar szczęścia!

„I odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy" — zaszemrało znowu wśród liści starej gruszy, i zaraz potem na błękity bez chmur, ze złocistych i różowych osłon, wytoczyła się nad borem jasna kula słoneczna. Teraz już wszystko wstało. Zaśpiewały ptaki, po zielonych łąkach płynąca rzeka zalśniła złotem, szumiały na drzewach ogrodowych liście, szumiał zdala bór ciemny.

Florka poszła ku domowi. W oczach jej nie zgasły jeszcze blaski brylantowe, uśmiech z ust nie schodził. Pocichu, aby nie zbudzić męża, wsunęła się do pokoju. Spał mocno. Podeszła ku niemu, popatrzyła wzrokiem miłości niezgłębionej i pocałowała opuszczoną bezwadnie rękę. Wobec niego duma promienna, z jaką do izby wchodziła, ustąpiła miejsca słodkiej pokorze.

XVIII.

— Florciu, proszę cię, nie odchodź. Takim niespokojny!

— Nic dziwnego, — odrzekła, dłoń jego ujmując. — Obawiasz się trochę publicznego występu, Antosiu? Odwykłeś zresztą od ludzi i wielkich zebrań.

— Hm! Nie wiem doprawdy, ale jeżeli takie usposobienie towarzyszyć mi będzie dziś wieczorem na estradzie, zgubiony jestem! Trema wszystko zabije: i pracę. i talent!

Antoni mówił to gorączkowo, w nerwowem podnieceniu, zaciskając kurczowo ręce lub kładąc je na rozpalonem czole.

— Przedewszystkiem nie myśl o tem, Anteczku — mówiła, tuląc się do niego.

Ładna zaiste była, gdy się przymilała mężowi i głowę, w jasne warkocze przybraną, układała na jego piersi. Widząc niepokój męża, usiłowała wmówić w niego odwagę, której niestety! i jej brakło.

— Przegram raz jeszcze koncert Mendelssohna — rzekł, ustawiając pulpit.

Florka zasłuchana, oczarowana, patrzyła z uwielbieniem na męża.

— Antosiu! — zawołała, gdy skończył — dobry wybór zrobiłeś. Kto się nawet nie zna na muzyce, Mendelssohna zrozumie. Patrz, pełne łez mam oczy! Jak to ty grasz! Teraz się już nie boję. Doprawdy!

— Myślisz, że nie będę miał tremy? — pytał, gładząc jej włosy. — To, widzisz, najgorsza rzecz!

— Fraszka! — odparła. — Ale wiesz, Anteczku, najlepiej, żebyś nie patrzył na publiczność, jeno na mnie i na Jasia. Tak sobie przypuszczaj, że cię nikt nie słucha, prócz nas.

— Gdyby to można było... — szepnął.

Wieczorem Wabik wpadł rozgorączkowany. Chcąc wykazać, jak był czynnym, jął opowiadać, jakie to okoliczności nieprzyjazne koncertowi dziś towarzyszą.

— Zły dzień wybrałeś, panie Antoni — wołał — zły dzień! No, trudno, stało się! Zamiast panny Goldenkrantz, trzeba było gwiazdę jaką ściągnąć. Publicznośćby poleciała, o jej! choćby gardło miała zdarte, jak podeszew. Wiadome rzeczy. Ha! trudno!

Florka rozgniewana przerwała mu:

— Antosia pan martwi niepotrzebnie.

— No, no! oczywiście to wszystko głupstwo — poprawił się Wabik. — Grunt i podstawa rzeczy, że biletów sporo rozebrano. Ubieraj się pan i jedźmy.

Oszołomionego, bladego Antoniego, wpakował do dorożki, i pojechali. Florka z Jasiem udała się wkrótce za nimi. Wyglądała mile w czarnej sukni jedwabnej z dżetami i bukiecikiem bladoróżowych róż przy staniku. Drogę z hotelu Polskiego do sal redutowych przebyła, jak w gorączce. Znalazła męża strojącego skrzypce, rozgorączkowanego, zniecierpliwionego drobiazgami, które sam wynajdował.

Tymczasem w sali światło zapalać zaczęto, przesuwać fortepian. Przy wejściu na galeryę wszczął się hałas. Chwila tryumfu lub upokorzenia zbliżała się. Antoni drżał.

Wabik biegał, jak opętany; wszedzie go było pełno. Raz po raz wpadał do pokoiku Antoniego. Florka odpędzała go, o ile mogła.

— Szkoda, żeśmy trochę klaki nie tego.. — mówił zaaferowany. — Trzeba było na galeryę z pięćdziesiątek biletów gratis rozdać, niechby klaskali. Inniby potem owczym pędem za nimi tego, i już!

Antoni się oburzył.

— O! wielkie rzeczy. Czyż pan nie wie o tem, że artyści całą gębą pomagali sobie w ten sposób? Ktoby się na publiczność w takim razie spuszczał? — przekładał Wabik. — Cóż to ja nie wiem?

Dzwonek odezwał się po raz wtóry. Florka drgnęła.a

— Odwagi, Antosiu — rzekła, dłoń jego ujmując. — Ja już pójdę z Jasiem zająć miejsce. Za chwilę i na ciebie czas będzie. Mój drogi, tylko się nie przejmuj! Będziesz miał powodzenie, daj ci Boże, a jeżeli nie, to i tak nie zginiemy.

Antoni ucałował pobladłą twarz żony i syna uścisnął.

— Idźcie już, idźcie — szepnął zmienionym głosem.

Widok pełnej sali wlał w strapione jej serce nieco otuchy. Z błagalnem spojrzeniem zatrzymywała oczy na tym tłumie obojętnym, który miał o szczęściu i przyszłości jej męża wyrokować.

Dzwonek ozwał się. Ukazał się na estradzie okryty bladością Antoni i na wstępie zaraz niekorzystne wywarł wrażenie. Ukłon jego był sztywny, niezgrabny; powierzchowność, jakkolwiek sympatyczna, niczem nadzwyczajnem nie uderzała. Nie poprawiał mankietów, które mu grę niby utrudniać miały, wypieszczonemi, upierścieniowanemi palcami nie odrzucał z czoła sztucznie zafryzowanych loków, nie przeszywał spojrzeniem, któreby elektryzowało miękkie serduszka dam nadobnych a znawcom i krytykom nie mówiło wyraźnie: „Miasto X. zasypało mnie kwiatami, miasto Z. ofiarowało mi smyczek brylantowy, stolica Y. okrzyczała wielkością, mieszkańcy G. wprzęgli się do mojej karety".

W przepełnionej sali rozmawiano i śmiano się. Artysta stroił instrument i czekał. Przykrą tę chwilę wstępne takty akompaniamentu przerwały.

— Pst! — rozległo się po sali. Uciszono się nieco.

Florka z zapartym oddechem patrzyła na męża. Zaczął grać. Drżący, niepewny ton wzmacniał się stopniowo, daleko mu jednak było do siły, z jaką rozbrzmiewał zwykle przed przychylnie usposobionymi dla niego słuchaczami. Antoni nie mógł się pozbyć trwogi. Tyle obojętnych oczu skierowało się ku niemu, tyle pół drwiących uśmiechów... W dodatku spóźniający się dla szyku maruderowie posuwaniem krzeseł i szelestem zagłuszali delikatniejsze tony.

Koncert Mendelssohna przeszedł bez wrażenia. Kilkanaście rąk podniosło się do oklasku. Antoni blady, ocierając spocone czoło, jeszcze niezgrabniej się ukłonił.

O uszy znękanej Florki obijały się zdania pojedyncze, litosne wykrzykniki, nic dobrego nie wróżące... — Ton słaby, nierówny — mówił obok niej znawca jakiś widocznie, bo crescendo, allegro, con fuoco wybiegały mu z ust z nieporównaną szybkością. — Kiepski zawiązek na artystę. Smutno pomyśleć, ilu ludzi niepowołanych wdziera się w dziedzinę sztuki. — Koncertant febry dostał — śmiał się ktoś dowcipnie. — Wytrząsł tak poczciwego Mendelsohna, aż uszy bolały... — Ach! jakiż niezgrabny! — skrzywiła się dama, obok Florki siedząca. — Powierzchowność bardzo pospolita, nie wie nawet, co z rękoma robić. Jakże on się nazywa? — Rozwinęła afisz i wybuchnęła chychotem. — No, teraz się nie dziwię. — Ale ja się dziwię — mruknął mąż, wydymając wargę — dziwię się pretensyi i zarozumiałości, pewnych klas.

(Ciąg dalszy nastąpi).

KOSZTOWNY ZWYCZAJ.

Wojciech był biednym gospodarzem. Miał zaledwie trzy morgi gruntu, krowinę, parę nędznych koni, ot i całe bogactwo. Dzieci było ośmioro. Uczciwe to, pobożne, pracowite, to też Wojciech i jego małżonka bardzo kochali swoje dziatki. „Stary" pracował jak wół roboczy, bo trzeba dzieci ubrać, nakarmić, do szkoły posłać i we wszystko zaopatrzyć. Biedaczysko nie dojadł, nie dospał, jak mógł sztukował, ale końce nigdy się nie schodziły. Wojciech w swej biedzie pocieszał się nadzieją, że będzie lepiej, gdy dzieci podrosną, a każde do pracy się weźmie. Przysłowie mówi: „małe dzieci, małe kłopoty, wielkie dzieci, wielki kłopot". Przekonał się o tem i nasz Wojciech. Dzieci podrosły, poczęły pracować i zarabiać, ale cóż z tego? Co zarobiły, wszystko poszło na stroje, na świecidełka i na rozmaite grymasy. Ty ojcze, jak dawałeś jeść, tak i dalej dawaj.

Najstarsza córka podrosła, trafili się ludzie, trzeba było wydać ją za mąż. Sąsiad powiada: Wojciechu, po co wam hucznego wesela, po co muzyki, po co wydatków. Zaproście kilkoro ludzi, oni zaprowadzą młodych do kościoła, ksiądz pobłogosławi, trochę się zabawicie, ot i koniec. To, co macie wydać na wesele, lepiej dać dziecku na dorobek. Przysłowie mówi: „Z próżnego i Salomon nie naleje". Gdy młodzi nie będą mieli od czego zacząć, to niczego się nie dorobią.

Wojciech, chłop był nie głupi, rozważył, co sąsiad powiedział i byłby tak zrobił, ale żona temu się sprzeciwiła. „Co ludzie powiedzą" mówi, „czy to my ostatni, czy nasze dziecko gorsze, jak dziecko sąsiada, niech też i nasza córka pamięta, że miała wesele". Kobieta uparła się przy swojem, a wiadomo, że żaden chłop baby nie przegada. Stanęło na tem, że wesele być musi i to nie byle jakie.

Na wesele potrzeba pieniędzy, a Wojciech swoich nie miał. Chodził — pytał — prosił, ale nic z tego. Gospodarze pieniędzy nie mieli. Kasa na wesele pieniędzy nie da. Pożyczył więc pieniędzy żyd karczmarz. Gdy przygotowania do wesela naprawdę się rozpoczęły, poznał Wojciech, jak źle zrobił, że żony posłuchał. Ale zaniechać tego, co się rozpoczęło, trudno. Musiał jeszcze biedak dopożyczyć u sąsiadów. To też chłopu dopiekło to wszystko do żywego, gdy więc wpadł w złość, klął żonę, siebie, córkę i całe wesele. I jakiż koniec był tych wszystkich zabiegów i kłopotów? Ot, trochę krzyku i hałasu w domu, nie obeszło się nawet bez bójki na weselu. W dodatku jeszcze ludziska obmówili, że na weselu mało dawano jeść i pić, a tu wesele kosztowało z okładem 400 koron, które Wojciech musiał pożyczyć.

To, co spotkało Wojciecha, spotyka prawie wszystkich ojców, którzy sprawiają huczne wesela. Jest to prawdziwa klęska dla gospodarzy. Trzebaby raz z tym niemądrym zwyczajem zerwać i nie sprawiać kosztownych wesel. Wesela szumne są dowodem wielkiej ciemnoty; nikogo nie ubawią, a korzyść z nich ma żyd i — djabeł. Cóż to za mądrość, że we wsi krzyk, hałas, że w domu kłopot po uszy? Cóż to za mądrość, jak niejeden ojciec przechwala się, iż sprawił wesele córce za pożyczone pieniądze? Jaka to mądrość wzbogacać żydów i destylacye, a krzywdzić własne dzieci i rujnować siebie! Może choć za to goście weselni ubawią się i będą wychwalać gospodarza? Broń Boże! goście się nie zabawią, bo ich za wiele, obsłużyć ich nie można, nikt też nie zje nic uczciwego, bo trudno na sto lub więcej ludzi wszystko w porządku przygotować. Szkoda tylko tych darów Bożych, które się marnują, a goście, zamiast cię ojcze, matko pochwalić, to cię obmówią potem, żeś mało dał jeść i pić, poobrażają się i wygadują. Czy nie tak może?

Wszystko to prawda, ale cóż robić, kiedy taki zwyczaj? Tak, zwyczaj, ale on zły i głupi, to go trzeba skasować. Dawniej, za czasów jeszcze pańszczyzny, wesela trwały po tygodniu, a czy wy to dzisiaj pochwalacie? Zapewne, że nie, owszem, dziwujecie się waszym praojcom, że tak niemądrze robili; otóż i z was i z dzisiejszych wesel śmiać się będą wasze wnuki i prawnuki, bo oni już będą sprawiać wesela we „czwórkę". Lepiej tedy, by, co ma być później, nastało wcześniej, teraz. Za pańszczyzny była ciemnota i niewola, wszystko sprzyjało i korzystało z długich chrzcin i wesel, żyd w karczmie ręce zacierał, pan we dworze był kontent, bo żyd więcej płacił; ale dziś, przy tylu naukach, wołaniach ze wszystkich stron, przy większej oświacie, trzymać się takiego zwyczaju już nie można i nie potrzeba. Dobre zwyczaje niech na zawsze

zostaną, ale złe wygnać za dziesiątą górę! Czemu to żydzi nie sprawiają takich wesel? Bo od nas mądrzejsi, to też i pieniądze mają.

Dziś wesela takie być winny: nowożeńcy z najbliższymi krewnymi, otrzymawszy błogosławieństwo od ojców, idą do kościoła na Mszę świętą. Z kościoła, po ślubie, wprost do domu i tu, a nie w karczmie, ani szynku, zjeść co Bóg dał, napić się po szklance kawy, czy herbaty, czy też piwa lub wina, pobawić się chwilę, ale bez muzyki i już po weselu. To będzie mądre wesele.

Jeżeli zaś już koniecznie ma być muzyka, to bez żadnych odgrywań, bez włóczenia się po nocy i straszenia myszy po wsi; dwa, cztery swaty, kilka dziewcząt ,a gości nie więcej jak dwadzieścia, z jednej i drugiej strony po dziesięć. Po ślubie potańczyć sobie trochę, ale nigdy w karczmie, a przed zachodem słońca „oczepiny“ i wszyscy do domów swoich — już po wszystkiemu. W nocy muzyki być nie powinno, ani żadnych poprawin, bo poprawia się to tylko, co złe było: szewc poprawia buty, jak źle zrobił.

Takie to już najbogatsze wesele.

A za to pieniądze, które miały pójść przeważnie do żydowskiej kieszeni, dać córce na drogę nowego życia; bardzo jej się przydadza, a jeśli ona ich nie dostanie, to i tak korzyść będzie wielka, bo nie będzie długu.

Stanisław Rydz.
(„Postęp“ w Krakowie.)

Luźne uwagi.

Gościnność i obowiązki sąsiedzkie

tak są znane w narodzie naszym, iż zatrzymywać się nad niemi długo byłoby zbytecznem — i tutaj jednak od dawnych Polek wiele się nauczyć możemy. Pojmowały one powinności swe w tym względzie jasno i we właściwem znaczeniu, umiały połączyć serdeczność, a zwłaszcza prostotę, na której nam zbywa, z uprzejmością i hojnością, a w pożyciu sąsiedzkim chować niewymuszoną swobodę, szczerość, otwartość, gotowość do posług i poświęceń, lub w potrzebie dłoń wyciągniętą dla udzielenia pomocy. Takie tylko stosunki czynią pożycie sąsiedzkie prawdziwą rozkoszą, wytchnieniem i pociechą wśród twardej kolei codziennych obowiązków, w szerszem zaś znaczeniu staną się podstawą jedności i solidarności narodowej. Sąsiada bratem nazywali ojcowie nasi, bo też blizkie, zażyłe sąsiedztwa tworzyły niejako wielką rodzinę, obcą pomiędzy sobą wszelkim intrygom, plotkom i niesnaskom, o gościu zaś mówiono: „gość w dom — Bóg w dom“. — Gościnność staropolska zasadza się nietylko na nakarmieniu i napojeniu odwiedzających, ale także na uprzyjemnieniu im pobytu w naszym domu, na dostarczeniu odpowiedniej rozrywki, odgadywaniu ich nawyknień i upodobań. Umiejętność zabawienia towarzystwa nie każdemu jest daną, a przecież jest ona do pewnego stopnia warunkiem gościnności i rzadko gościnnym nazywamy dom, w którym się nudzimy. Utrzymywanie ciągłej, nieustającej rozmowy bywa trudnem niekiedy, zwłaszcza gdy towarzystwo jest dość liczne, gdy je składają osoby sobie obce, różnego wieku, różnego wykształcenia i różnych wymagań; rozmowa w takim razie urywa się co chwila i nastaje niemiła cisza, albo towarzystwo rozdziela się na osobne kółka i pary, które sobą tylko zajęte i z sobą się bawiąc, giną niejako dla ogółu, wśród czego niejedni bywają opuszczeni i pominięci. W szczuplejszem, a zwłaszcza w lepiej pod wyżej wzmiankowanemi względami zgadzającem się gronie ożywiona rozmowa, dysputa, żwawa zamiana myśli i wyrazów, wspólne uwagi i spostrzeżenia są zapewne najprzyjemniejszą zabawą — we wielu wszelako razach pożądanem i miłem jest połączenie się towarzystwa przy jednej, wspólnej zabawie, w którejby wszyscy brać udział lub przynajmniej widokiem jej rozrywać się mogli. Doprowadzić do tego zdoła jedynie pewna ochoczość i umiejętność gospodarstwa, a głównie gospodyni domu w przyjmowaniu i zabawianiu gości.

Wymieniliśmy wyżej wyraz **hojność**, a to nam przypomina, że i ta cnota należała do właściwości naszego narodu. Z naśladowaniem jej przecież należy być niezmiernie ostrożnym, aby nie przekroczyć granicy i nie zamienić jej w rozrzutność, będącą naszą wadą z przeszłości i teraz. Hojność, w dobrem znaczeniu — to nieszczędzenie grosza na wszystko, co dobre i szlachetne, co wyższe ma cele, lub błogie skutki wywołać może, to podanie dłoni pomocnej nieszczęśliwszym współbraciom, to — za przykładem niewiast staropolskich — składanie na ołtarzu ojczyzny i potrzeb narodowych ostatniego klejnotu. Dobrze pojęta hojność — to rozszerzona i wyższa dobroczynność, to pewna szlachetna wspaniałość i wyniosłość duszy.

PRAKTYCZNE RADY.

Wytapianie smalcu.

Smalec wytapia się ze sadła, z tłuszczu nerkowego, z kresek (otoki). Z tych materyałów, po ich wyjęciu z wnętrza wieprza i po opłukaniu, zdejmuje się najpierw cienkie bony, dopóki tłuszcz jest jeszcze ciepły. Błony te podobne do błony pęcherza moczowego, rozpięte na desce suszy się i zużywa na koszulki do szynek westfalskich lub głowizny. Tłuszcz z sadła i nerek po opłukaniu, a z kresek po dłuższem wymoczeniu we wodzie, kraje się w kawałki i wrzuca do pobielanego rondla lub kociołka. Mięszając, by się tłuszcz nie przypalił, gotuje się je tak długo, aż wytopione skwarki zbrunatnieją i skurczą się. Gdzieniegdzie przy wytapianiu smalcu dodają dla smaku soli, cebuli i majeranku, dodają je zaś w chwili, gdy skwarki poczną brunatnieć. Skoro skwarki zbrunatnieją, odstawia się rondel od ognia, a gdy smalec ochłódnie, cedzi się go przez gęste sito do garnków polewanych, lub kamiennych, a gdy się zsiędzie, ustawia się go w piwnicy na półce, przykrywając papierem i krążkiem. Zebrane skwarki, dobrze osolone i ugniecione, dadzą się w polewanych garnkach przechować w piwnicy przez czas dłuższy. Przez zagotowanie w wrzącym smalcu można je odświeżać. Smalec trzyma się dobrze i bez solenia.

Nakładem redakcyi „Prawdy“, Kraków. — Czcionkami „Katolika“, spółki wyd. z ogr. odp., Bytom.